



Justyna Melonowska

Doktor filozofii. Adiunkt w Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Autorka książek i artykułów naukowych, m.in. *Osob(n)a: kobieta a personalizm Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Doktryna i rewizja* (Difin 2016), *Ordo amoris, amor ordinis. Emancypacja w konserwatyźmie* (APS 2018), *Pisma machabejskie. Religia i walka* (Fundacja im. Augusta hr. Cieszkowskiego, 2020). Jej zainteresowania badawcze dotyczą filozofii i teologii osoby, filozoficznego ujęcia macierzyństwa, rozumienia ortodoksji religijnej i przywództwa religijnego w XX i XXI w. Uczestniczka licznych debat publicznych. Od 2017 r. związana z „Christianitas. Pismo na rzecz ortodoksji”. Obecnie na publikację oczekują jej *Pisma jakubowe. Religia i walka*.

Element grecki

Oto źródło naszych nieszczęść: zapoznanie elementu greckiego. Możemy się czasem spotkać z poglądem (np. u Gernota Böhmego), że specyfika ludzkiej sytuacji na tym dziś polega, iż wskutek niesłychanego rozwoju techniki znika w nas ten element losu, który wyrażał się w słabości cielesnej, a nawet w samej konstytucji fizycznej organizmu ludzkiego – o tyle, o ile był on zarazem faktycznością i ograniczeniem.

Słowa kluczowe: los, kondycja ludzka

S pójrzmy na bohaterkę *Rajskiej jabłoni* autorstwa Poli Gojawiczyńskiej, nad której martwym ciałem bezradny i wstrząśnięty, nic nierozumiejący woźnica mówi: „ależ ja tylko zawołałem: «Z drogi, z drogi!»”. Wiemy, my czytelnicy, że owa kobieta chorowała na serce, i rozumiemy, że umarła zapewne od nagłego przestrawu, gdy za jej plecami rozległ się donośny głos męski. Może zresztą była wtedy zamyślona...? Bo jakże to tak umrzeć, tak po prostu, idąc ulicą? Jakże to umrzeć na krzyk? Zwłaszcza, gdy się życie miało tak trudne jak ona i tak było zaprawionym we wszelkich przeprawach, gdy się samej było jakby krzykiem cichym? Oto los: mieć słabe serce, umrzeć na serce na ulicy wskutek przestrawu spowodowanego głośnym okrzykiem jakiegoś woźnicy. Dziś jednak miałyby owa kobieta (jej imienia nie pamiętam, a całą scenę spisuję nie z pamięci nawet, lecz „ze wspomnienia dawnej lektury”) za sobą operację lub dwie, lub trzy; nosiłaby też może w piersi serce innego człowieka i ono by dla niej biło, ono by sobie radziło z pompowaniem życionośnej krwi i uodparniało na krzyk. Co ją zabiło? Otóż właściwie zabił ją element grecki, to znaczy: jej los. Słabe serce.

Inaczej niż Böhme nie sądzę, że ów zanik elementu greckiego stosuje się nade wszystko do naszych ciał. (A jak daleko może sięgać dziś *techné*, o tym nie da się już pisać bez trwogi – dość wspomnieć dziecko mające troje biologicznych rodziców; z pewnością też bezmiar tej zimnej potęgi, moc owej bogini *Techné*, nie jest nam całkiem znana). Sądzę, wprost przeciwnie, że on przenika przede wszystkim naszą jaźń. I w tym sensie, w tym duchowo-psychicznym sensie, los nadal jest. I jest naszą faktycznością. A będąc nią, jest zarazem zewnętrzną granicą naszej wolności czy raczej naszych wolności. Każdemu bowiem jego własna wolność i każdemu – nie inaczej! – jego własny element grecki... Tymczasem odmawiamy mu słusznych praw. By to wyjaśnić, posłużę się znów przykładem, tym razem z noweli nie bardzo godnej uwagi literatów. Oto kobieta. Od małości pozbawiona matki, a w toku dalszych lat życia okazuje się, że również wszelkiego pozytywnego elementu kobiecego (babki, ciotki, nawet obcej a życzliwej kobiety), a właściwie – jak to dziś się mówi – kobiecej postaci znaczącej. Jednocześnie otoczona opieką i czym pierwiastkiem męskim, niczym kokonem twardością przypominającym



Fragment rzeźby: Tyche (Fortuna) Antiochii (Muzea Watykańskie), Wikimedia Commons CC BY 3.0

skorupę kokosa. Nietrudno nam będzie zrozumieć jej pragnienie posiadania córki, z którym równać się może jedynie pragnienie dziecka żywione przez ową bezdzielną Yermę, bohaterkę Federica Garcii Lorci (*Yermę* uważam za jeden z najbardziej porażających dramatów literackich). Córka pojawia się, lecz... ciężki jej los. Oto ma być upragnioną swej matki. Cóż więc dziwnego w jej poszukiwaniu siebie daleko poza kwoczymi skrzydłami, w istocie tak daleko, by matczyne skrzydła nie mogły się nigdy aż tak rozciągnąć i przygarnąć?! Element grecki matki: nie mieć kobiety. Element grecki córki: być kobietą tej, która ma nie mieć kobiety. Jakie wyjście? Marny nasz pisarz proponuje żalobę, żal, łzy, wyrzuty. Ot, cikliwa historia niedopasowania. A przecież jest to – wprost przeciwnie – wyraz doskonałego dopasowania, pełnej

harmonizacji losów. Oczywiście, możemy pytać: Co pozostaje matce? Zostać Medeą? A co córce? Stać się Elektrą? (Trzeba przy tym pamiętać, że będąc dzieckiem Bezmaczynej, owa Córka ma nadto jakiś swój osobny wymiar losu – urodę, zdrowie, epokę itd.). Max Scheler – ten typ ludzki ponoć nieznośny i pretensjonalny, zarazem myśliciel nieskończenie błyskotliwy – pisał, iż człowiek może się różnie zachować wobec swego losu, a to znaczy, że może w niego wkroczyć swą wolą.

„Los, tzn. ogół możliwości, które zdarzają się jemu i mogą zdarzyć się tylko jemu (Scheler 1998, s. 17).

Przyjąć, że nasz los jest naszym przeznaczeniem, to stanąć po stronie greckiej, po stronie fatum. Tymczasem

nasz los nie jest naszym przeznaczeniem (Scheler słusznie przywołał tu też kategorię powołania), jest w ludzkiej mocy rozerwać ten fatalny spłot – pisze.

„Chociaż losu i struktury otoczenia nie wybiera się swobodnie, to jednak człowiek może się w różny sposób zachowywać wobec niego. Może tak bardzo pozostawać pod jego urokiem, że nawet go nie rozpoznaje jako losu (jak ryba w akwarium), może też, poznając go, stanąć *ponad* nim, może mu się poddać albo stawiać mu opór (tamże, s. 21).

Wzięłabym natychmiast stronę Greków przeciw Schelerowi! I tysiąc razy bardziej jeszcze przeciw Jean-Paulowi Sartre'owi, który twardo stał na stanowisku, że człowiek jest tym i tylko tym, czym siebie uczyni. Oto piewca wolności (była ona dla niego terminem technicznym), Grek powie: oto głupiec. Lecz Scheler zachowuje ten oto niuans, to rozpoznanie podstawowej sytuacji człowieka „walczącego z losem”:

„Może to uczynić jedynie w aktach i sposobach zachowania się, które istotnie różnią się od aktów, za pośrednictwem których dokonuje tak zwanego „wolnego wyboru”; [bowiem] w przypadku tych aktów musi pozostać w granicach struktury swego otoczenia i w obszarze swego losu (tamże, s. 22).

Czy mądrością kobiety chorej na serce byłoby zaprzeczanie swej chorobie? Mogłaby ją przeżyć różnie: obchodzić się ze swym ciałem jak z drogocenną a kruchą porcelaną (którą ono jest w istocie) lub też oddać się najdzikszej rozpуще. Może jednak ową chorobę przeżyć, tylko przyjmując ją. A zatem istnieje taki rodzaj wolności wobec losu, który polega na jego przyjęciu. To właśnie wiedzieli Grecy; wiedzieli że... możemy się różnie zachować wobec losu tylko w granicach swego losu.

I że mimo wszelkich naszych wysiłków nasz los *jest* naszym przeznaczeniem. Mądrością jest go poznać i przyjąć, nie zaś poznać i odrzucić. Dopiero owo przyjęcie odpowiada pierwszemu warunkowi życia prawdziwie ludzkiego: *γνώθι σεαυτόν*, *gnōthi seauton* („poznaj samego siebie”). I nie zapomnijmy, że formuła ta może pochodzić od Fenomoe, kobiety (tak podaje Diogenes Laertios), i że widniała na architrawie delfickiej świątyni, gdzie los interpretowały kobiety. Dlaczego one? Z powodu istnienia tej złożonej „trójcy” nie-Gracji: Oto Ananke. Oto jej córki, Mojry. Oto Adrastea. Inaczej: Oto Konieczność – matka Przeznaczenia i Nieuchronności.

Skąd ta wszechobecność matek? To proste. Roz-poznajemy swój los, poznając tę, której dzieckiem jesteśmy. Ojciec jest – zgodzi się tu socjolog z metafizykiem – domniemany, matka jest pewna. Jej łono, jej łożysko, jej pępowina, nawet jej ciepła skóra, na którą jesteśmy złożeni w chwili wejścia na świat – wszystko, od czego próbujemy się oddzielić jak najszybciej i jak najdalej, bo przecież jej istnienie przypomina nam o tym, że nasza wolność jest ograniczeniem. Moja matka – chore serce. Moja matka – niski wzrost. Moja matka – skłonność seksualna. Moja matka – niezwykła uroda. Moja matka – najpiękniejszy głos. Moja matka – brak matki. Moja matka – mojej matki pragnienie matki. Dwie możemy dać odpowiedzi na los. Pierwszą jest złożenie głowy na jego łonie... Płynię z tego głębokie ukojenie. Drugą jest próba zmiany niezmiennego (dziś często wręcz swej natury biologicznej)... Płynię z tego tego rodzaj transu. Patrząc na niego i nawet go podziwiając, jakby patrzymy na Edypów wypychających swe miecze w swych ojców i prącia w swe matki! A przecież nieszczęście chłopca z tego właśnie wynikało: nie znał siebie. Mylił się co do swego pochodzenia. Po prostu złożył głowę na niewłaściwych kolanach. I dlatego też nie mógł poczuć na włosach kochającej pieczy swej Matki, która nosi to piękne imię: Los. I która, nie wątpmy o tym, w jakimś sensie nas kocha. Czy nie taki jest bowiem los Matki? ■

Warto przeczytać

■ M. Scheler, *Ordo amoris*, [w:] *O miłości. Antologia*, M. Grabowski (red.), Toruń 1998.

Najnowszy numer



Tu nas znajdziesz

Serwis Filozofuj!



Filozofuj @ facebook



Filozofuj @ instagram



Filozofuj @ twitter

